LENIWY SZYMCIO Z FELEREM

(OBRAZEK WIEJSKI).

NAPISAŁ

Franciszek Walczakiewicz.

WARSZAWA.
W drukarni Synów St. Niemiry, Plac Warecki 4.
1903

LENIWY SZYMCIO Z FELEREM

(OBRAZEK WIEJSKI)

NAPISAŁ

Franciszek Walczakiewicz.

NAKŁAD AUTORA
1903

Дозволено Цензурою.
Варшава 6 Мая 1902 года.

Wśród zapylonych, niedbale popodpieranych i chylących się prawie do upadku chałup wsi Bętkowa, rażąco odbijała siedziba Wojciecha Buka, zewnątrz czysto wybielona, stojąca równiutko, z oknami czysto wymytemi, przed któremi w równej linii stały trzy dzikie gruszki, zabezpieczone palikami. Dach chałupy starannie również był utrzymany, a po za nią na wpół podwórza, widać było ładny ogródek, w którym oprócz drzewek owocowych, w rogach rosły cztery morwy, a w środku bzy białe i spore krzaczki róż.

Rozmieszczone po za chatą zabudowania gospodarskie, również jak ona utrzymane były we wzorowym porządku, tak, że każdy z przejeżdżających czy przechodzących tamtędy, uderzony był tak mile wpadającym w oko widokiem dobrze urządzonej i starannie pielęgnowanej siedziby włościanina, która raczej na dworek szlachecki wyglądała, zwłaszcza wobec zakopconych i koślawych jej sąsiadek, dając poznać ciekawemu, że w niej mieszkać musi bardzo pracowity i szanujący się człowiek.

I w rzeczywistości tak było, bo Wojciech Buk w całej wsi i okolicy za wzór włościanina był uważany.

W młodym wieku utracił ojca, a ponieważ miał kilku braci i sióstr, zmuszony był jak wielu innych szukać zarobku w mieście dużem i przybył do Warszawy.

Tu będąc w sile wieku, dostał się do fabryki żelaznej i użyty był do przeładowywania towarów. Ochota do pracy i pilne wypełnianie poleconych mu rozkazów, zwróciły na niego uwagę administratora fabryki i zjednały mu jego zaufanie a także i odpowiednie wynagrodzenie.

Młody Wojciech po kilku miesiącach pobytu w mieście naszem rozejrzał się już nieco i spostrzegł brak najważniejszy dla każdego, t. j. nieumiejętności czytania i pisania, która mu bardzo przeszkadzała w wypełnianiu powierzonych czynności, zwłaszcza gdy nie znając ulic miasta, zmuszony był o nie się rozpytywać i często złośliwi wprost przeciwną mu wskazywali drogę i wiele nieraz czasu zmarnował zanim o właściwe miejsce się dopytał.

Przyprawiało go to o rozpacz prawie i myślał nad tem jakby sobie poradzić, aby nie być nadal przedmiotem żartów i nie opóźniać czynności.

Nareszcie pewnego razu zwierzył się z tem przed jednym z niższych urzędników fabryki, że gdyby umiał choć czytać, dale-

koby prędzej mógł się załatwiać, mogąc przeczytać nazwy ulic na rogach i numera na domach umieszczone.

Ponieważ dla swej gotowości do słuchania rozkazów, lubianym był ogólnie, więc urzędnik ów przyrzekł wstawić się za nim do administratora głównego.

Zawołano go więc niebawem do kancelaryi, Wojciech przestraszony, myślał, że go chcą odprawić i zmieszany nieco stawił się przed obliczem zarządcy.

— Słuchaj Wojciechu, to ty nie umiesz czytać?—spytał go na wstępie administrator.

— A tak proszę wielmożnego pana.

— Więc chciałbyś się nauczyć?

— Oj z największą chęcią, wielmożny panie — odpowiedział Wojciech, kłaniając się jak mógł najniżej.

— A może chcesz się dostać do warsztatu? jesteś młody, zdrów, lubimy cię za pracowitość, będziesz tu mógł zostać robotnikiem?

Wojciech pomyślał nad tem trochę. On nie miał wcale zamiaru osiedlać się w Warszawie, lecz wciąż wzdychał za tem aby mógł mieć choć jeden zagon własny, pragnął tylko pracować tu dopóty, póki jakiej takiej gotówki nie zbierze i dla tego też zapracowane pieniądze o ile mu tylko z najkonieczniejszych potrzeb zostawały, skwapliwie gromadził, aby potem dostać się znów do rodzinnej

wioski i być tak jak jego praojcowie gospodarzem.

Zapytanie więc administratora zmieszało go mocno, bo myślał, że jak odmowną da odpowiedź, rozgniewa zwierzchnika, a kłamać przed nim nie chciał.

— No jakże Wojciechu, chcesz czy nie?

Wojciech zebrał się na odwagę i rzekł:

— Proszę wielmożnego pana, ja nie mam zamiaru zostawać tutaj, jeno popracowawszy pragnę wrócić w rodzinne strony. Chciałbym się tylko nauczyć czytać i pisać.

— No to dobrze, jeśli rzeczywiście masz ochotę do tego, to cię co niedzielę uczyć będę.

Wojciech nie posiadał się z radości, uściskał za kolana i zarządzającego i jego pomocników, dziękując za łaskawe względy.

W rzeczywistości zarządzający wybrał jednego ze starszych praktykantów i polecił mu Wojciecha co niedzielę uczyć, obiecując mu nagrodę po ukończeniu nauki wyznaczyć.

Z całą siłą chwycił się Wojciech za naukę i w sześć miesięcy biorąc tylko niedzielne lekcje, przy pilności nauczył się czytać i pisać.

Odtąd wszystkie niedziele i święta, w których fabryka nie była czynną, Wojciech poświęcał na czytaniu książek, o wybór których prosił zwierzchników.

Po dwu latach pobytu zawakowało miejsce nadzorcy, a że Wojciech znany był z pil-

ności i uczciwości, a przytem dzięki nabytym wiadomościom, skutkiem ciągłego czytania pożytecznych dziełek, nabrał wiele wiadomości niezbędnych przy każdym rodzaju zajęcia, dano mu więc takowe.

Teraz jeszcze bardziej wziął się do oszczędzania, a że miał znacznie więcej, przeto i oszczędności jego w ciągu lat pięciu wzrosły tak, iż po dokładnym obrachunku mógł już bodaj mały kawałek ziemi na swą własność zakupić.

Podziękowawszy więc za służbę, Wojciech, obdarzony za kilkoletnie dobre sprawowanie paruset złotemi, wyruszył, by marzenia swoje w rzeczywistość zamienić.

Za przybyciem do Bętkowa, znalazł właśnie do zbycia kawał ziemi, coś z 8 morgów, którego nikt nabyć nie chciał, bo jak mówili, nic się na nim nie urodziło, i z tego powodu leżał zawsze odłogiem.

Buk ucieszony rozejrzał się w położeniu kawałka ziemi, będącego na sprzedaż i natychmiast do umowy o nabycie przystąpił.

Krewni posłyszawszy o tem, zaczęli mu odradzać że straci na pewno, przytaczając mu długi szereg poprzednich właścicieli, którzy nie mogli wyjść na swoje, lecz Buk odpowiadał im:

— Nie ma u nas złej ziemi, tylko potrzeba nad nią pracować, a z pewnością plon wyda.

Zaczęli go więc namawiać, aby przynajmniej poczekał, nie tak gorąco brał się do kupna, to później i daleko taniej będzie mógł nabyć, bo właściciel, któremu długo już nie procentuje, rad będzie za co bądź go sprzedać.

— E, moi kochani—odparł Buk—jak ja będę czekał, to mi się pieniądze rozejdą, i jeszcze więcej stracę, a przytem co będę przez ten czas robił.

— Odpoczniecie sobie trochę, pomożecie nam, a pieniędzy nie wydacie, boć od was ich za wyżywienie brać nie będziemy.

— Bóg zapłać — odparł stanowczo—macie na kogo pracować, a ja wam i tak pomogę, jak tylko będę mógł.

— Oho, zapracujesz ty się na tym kawałku ziemi i nie dasz sobie rady, zobaczysz.

— No, zobaczycie, że za lat parę, nie poznacie tego kawałka ziemi.

Widząc że go nie potrafią przekonać, rozeszli się szemrząc:

— Ino który z tej Warsiawy powróci, to już uparty jak kozieł.

— A niech go tam, będzie żałował, ale Chruściak kontent że zbędzie ze łba kawał nieużytku.

— Ma się rozumieć — zaopiniowali jednozgodnie.

Buk natychmiast zakupił i rzeczywiście bardzo tanio ten osławiony nieużytek i po przeprowadzeniu formalności, wszedł w jego

posiadanie, a ponieważ zostało mu się jeszcze kilkadziesiąt rubli, więc dostawszy drzewa i dokupiwszy niewiele, zbudował sobie najprzód chałupę, podług swego gustu, a następnie zajął się pracą około gruntu, który rzeczywiście zaniedbanym był tylko.

Ponieważ z książek, których czytaniu z zapałem się oddawał, w wolnym od zajęcia chwilach w Warszawie, znał różne sposoby podniesienia wydajności ziemi, korzystał teraz wiele z tego, tembardziej, że we wsi znajdowała się olszyna i błota tłuszcz zawierające, a o innych potrzebnych do użyźnienia gruntu nawozach wiedział także, więc stopniowo używając wszystkiego w miarę, już w dwa lata widział znaczną poprawę.

Kosztowało go to dużo pracy.

On pierwszy ze wsi całej witał wschodzące słońce i cudowny ten widok wprawiał go zwykle w zadumę.

Zanim jutrzenka ukazała się na niebie, Buk stał już gotów do pracy, a gdy zwolna jasne promienie rozchodzić się poczęły, z płomiennego punktu jaśniejąc coraz bardziej i gubiąc się wśród gęstych liści drzew na których krople rosy odbijając jak brylanty, tworzyły jakby jedną lśniącą się górę, póki olbrzymiejące coraz światło, kąpiąc się w wodach parowu, nie przyćmiło ich swą potęgą.

Buk stał zwykle zapatrzony z odkrytą głową, przysłuchując się śpiewom rozbudzonych ze snu ptasząt i to wystarczało mu za

wszelką zabawę i do mozolnej zachęcało pracy, której do późna się oddawał.

Nie dziw więc, że już w lat cztery miał coś z pracy swej i chociaż nie wielki zajmował obszar, lecz że każdą najmniejszą cząstkę ziemi umiał pożytecznie i odpowiednio spożytkować, daleko więcej miał dochodu, niż ci u których znaczne części ich własności leżażały odłogiem, lub licho uprawione, nie wiele swym właścicielom korzyści dawały.

Buk przez cały ten przeciąg czasu zapracowany, bardzo mało przestawał z gospodarzami, spostrzegłszy ich niechęć i posądzanie go o dumę, a mając już teraz cokolwiek wolnego czasu, zaczął zapraszać ich w dni świąteczne na pogawędki i nawzajem ich odwiedzać.

We wsi miano go za zbogaconego w Warszawie i kilku nawet zamyślało opuścić zagon ojczysty, i wybrać się do Warszawy, gdzie jak utrzymywali, w tak krótkim czasie wzbogacić się można.

Najbardziej zagorzali amatorowie porzucenia rodzinnego gniazda dla prędkiego zbogacenia się z wielką ochotą przyjęli zaproszenie Buka, umyśliwszy wywiedzić się od niego o stosunkach naszego miasta i gdyby zażądał chcieli zapłacić mu, aby ich tylko objaśnił jakim sposobem doszedł do majątku.

Gdy się więc zebrali, zaczęli mu najpierw pochlebiać wychwalając go, że sobie z tym zatraconym kawałem poradził, czego

tylu innych poprzedników jego w żaden sposób dokonać nie mogło.

— Wiecie co, że wy chyba posiadacie jaką sztukę — zaczął Szymon Półtorak — żeście tak prędko przeinaczyli tę ziemię, bo wszyscyśmy myśleli, że tu zginiecie ze szczętem.

— Niech Bóg broni, cała sztuka oto w rękach i w tem co wyczytałem z książek o poprawie gospodarstwa.

— To dziwnie — rzekł niedowierzająco Jakób Snopek — a przecież we dworze tyle jest książek, a jednak dużo ich chybia.

— Oto rzecz inna—odparł Buk—oprócz tego co w książkach pisze, potrzeba jeszcze wszystkiego dopilnować, a oni widocznie nie mogą tego dopełnić.

— Ba, djabeł by znów wszystkiemu podołał, człek robi i robi a jednak coraz gorzej idzie, i ledwo się początek z końcem wiąże, ziemia coraz gorzej rodzi.

— Prawda — zawołali jednogłośnie.

— O co to, to się mylicie, ziemia jak była tak jest, ale potrzebuje ciągłej starannej opieki, a że nie ma złej w naszym kraju, to się przekonaliście na mojej.

— Nu tak, ale też tak pracować, to zdrowia nie starczy.

— Moi kochani, praca nikogo jeszcze nie zabiła, chyba że kto nie kieruje się rozumem.

— Ale tak się wam zdaje, wciąż się mordować, a tu człek coraz starszy i sił nie przybywa.

— Rozumie się—potwierdzili obecni i nieprzekonani po długiej jeszcze rozmowie rozeszli się.

Później jednak pojedynczo przychodzili do Buka radząc go się i obiecując wynagrodzenie za odkrycie sekretu zbogacenia się w Warszawie.

— Buk opowiedział im tedy jak ciężko musiał tam pracować zanim dostał lepsze miejsce, a także jak wiele mu było na przeszkodzie, że czytać i pisać nie umiał, ile trudów poniósł zanim się w starszym wieku tego nauczył, i wiele póżniej czytając pożyteczne książki skorzystał, dodając, że chociaż mu dobrze później w Warszawie było, to jednak tęsknił za rodzinną wioską, i teraz dopiero czuje się prawdziwie szczęśliwym.

Temi rozmowami przekonał nareszcie chcących opuścić rodzinną zagrode i nabrał u nich szacunku.

Gdy już urządził swe małe gospodarstwo, Buk zapragnął się ożenić. Wszystkie dziewczęta i ich rodzice chciwie czekali wyboru Buka, wciąż zapraszając go i nasyłając swatów.

Ale Buk nabrawszy ogłady w Warszawie, chciał sobie odpowiednią towarzyszkę życia pojąć, a tu trudno było o taką, bo na nieszczęście za mało rodzice zwracają uwa-

gi na wykształcenie swych dzieci, a najmniej na córki, sądząc fałszywie, że aby dziewka miała tylko świeży buziaczek i znała powinności gospodarskie, to już dosyć dla niej, zaniedbując często zupełnie nawet początków nauki, bez której w dalszem życiu, już jako żonie i matce, ciężko później na świecie bywa.

Więc też choć rój dziewcząt wiejskich świeżych jak maliny uśmiechał się do Buka, on postanowił pojąć za małżonkę Annę Kuc, córkę dość zamożnego gospodarza, dziewczynę o rok starszą od siebie, lecz znaną z pracowitości i umiejącą dobrze czytać i pisać. Była ona w młodości bardzo wybredną, dla tego też gdy ten i ów dostał odkosza, później jak to zwykle bywa, chłopcy odstręczyli się zupełnie i Anna nosiła już miano starej panny.

Martwił się tem ojciec, boć posiadał dosyć na utrzymanie jedynaczki, przecież jak każdy ojciec, zwłaszcza gdy umarła mu żona, radby był, nie mając syna, zdać na zięcia gospodarstwo, i przy nich na stare lata sobie odpocząć.

Probował różnych sposobów, lecz Anna wprzód oświadczyła mu, że za byle kogo nie pójdzie, więc dał spokój namowom.

Oświadczyny Buka przyjęto więc z ogromną radością tak przez ojca jak córkę, która nie mogła dosyć się nacieszyć, że będzie miała męża tak rządnego gospodarza i który mówi tak, „jak szlachcic,“ bo Buk rzeczywi-

ście czytając książki, uważał jak są pisane i stosował się do nich, nie przekręcając mowy.

Niebawem odbyło się wesele, które miało być bardzo świetne, a zatem i kosztowne; lecz Buk oparł się temu, że zbytek przy takich aktach jak wesela, chrzciny i t. p., na który często nawet zapożyczają się niektórzy, by przyćmić sąsiadów, najczęściej bywa początkiem ruiny dla nowożeńców. Stary Kuc usłuchał rady zięcia pomimo oporu Anny, która koniecznie chciała, aby jej wesele cała wieś długo zapamiętać mogła.

Następnie Kuc chciał zdać na zięcia gospodarstwo, lecz ten oparł się temu dowodząc, że najlepiej jest gdy rodzice do śmierci na własnym zagonie siedzą, nie zdając się na łaskę dzieci lub zięciów, podjął się tylko dopilnowania gospodarstwa, aby ulżyć staremu ojcu.

Ot było to nie łatwe zadanie, bo gospodarstwo teścia położone było w znacznej od Buka odległości. Lecz czegoż człowiek wytrwały dokonać nie jest w stanie. Buk nietylko że swoje gospodarstwo wzorowo prowadził, ale i teściowe znacznie ulepszył skutkiem czego zamożność obu w krótkim czasie podwoiła się i do najzamożniejszych w całej wsi ich zaliczono. Dobry ten przykład nie pozostał bez naśladowców. Wielu z włościan idąc w ślady Buka i za jego poradą, której chętnie każdemu udzielał, poprawili swoje gospodarstwa a także i nabrali ochoty do

czytania książek, które już pokupowali sami, już też zawsze znający takowe Buk im udzielał, objaśniając bardzo często treść książek, których odrazu rozumieć nie mogli i tym sposobem obudzał wśród swych współbraci coraz większą do czytania ochotę.

Nieco odmiennego charakteru była żona Buka, chociaż w pracy jej nikt nie wyprzedził i była wielką pomocą mężowi w zajęciu około dwóch gospodarstw i ze szczególnem zamiłowaniem hodowała bydełko, ten największy skarb dla ziemianina, lecz nie mogła się pozbyć pychy, która o mało co o staropanieństwo ją nie przyprawiła. Z całej wsi żyła tylko z jedną z swych czasów młodości przyjaciołek, która wyszedłszy wcześnie za mąż, owdowiała, a nie mając prawie krewnych i dla swego fałszywego usposobienia nie lubiana przez nikogo, trzymała się wciąż Bukowej, pochlebiając jej stale, co też lubiła bardzo i dla tego żyła wygodnie z jej łaski. Kubiakowa, bo tak się z męża nazywała, próbowała także pochlebiać i Bukowi, lecz ten bardzo prędko poznał się na niej i kilka razy ją ofuknął, że jednak żona jego nie mogła się bez niej obejść i z natury swej nikomu łyżki strawy nie żałował, widząc że bezskutecznie żonę ostrzega, przedstawiając jej zły skutek słuchania pochlebców, dał wreszcie pokój, wymawiając sobie tylko, aby Kubiakowa nie odzywała się do niego z żadnemi pochwałami, bo każdy człowiek naj-

lepiej wie, co warte są jego uczynki. Kubiakowa siedziała więc u Buków, i żadna domowa sprawa nie obeszła się bez jej współudziału, a to głównie z powodu, iż Bukowa nie żyła prawie z nikim więcej, a zarozumiałość jej po zamążpójściu, jeszcze większe przybrała rozmiary, traktowała wszystkich z góry, więc rzecz prosta, nie miała przyjaciół a nawet familja omijała ją, z czego też korzystała Kubiakowa i znosząc wciąż plotki, burzyła Bukowę coraz gorzej dla najbliższej nawet rodziny źle ją usposabiając, w widokach naturalnie własnych korzyści.

W dwa lata po ślubie urodził im się syn. Oboje małżonkowie bardzo byli z tego uradowani. Okoliczność ta bardzo była na rękę Kubiakowej i od tego też czasu, wprowadziła się już do Buków na stałe.

Nie był z tego zadowolony Buk, ale ulegając namowom żony, tłomaczącej mu potrzebę pomocy, a zarazem, że przyjmując wdowę, nie mającą własnej strzechy, spełnia i dobry uczynek i wyręczać się nią będą mogli, przystał nareszcie.

Bukôwa chcąc jeszcze lepiej swą ulubioną przyjaciółkę zabezpieczyć, uparła się, aby nie kto inny, tylko ona do chrztu go podawała i po długich sprzeczkach, postawiła na swojem.

Odtąd też obie zajmowały się wychowaniem małego Szymona, bo Buk zajęty pracą około swego i teściowego gospodarstwa, nie

miał nieraz i chwili czasu, zwłaszcza, gdy teść umarł coś w rok po urodzeniu się Szymona a wszystko przeszło na jego głowę i ręce, bo cudzemi o ile mógł najmniej się wyręczał. pracując wciąż za trzech.

Naturalnie praca jego opłacała mu się sowicie i należał on teraz do najzamożniejsnych w całej wsi gospodarzy. Lecz nie wbijało go to w dumę, po dawnemu o ile mu czasu zbywało, zgromadzał on do siebie starszych i młodszych gospodarzy, z któremi gawędził już to o nowych zdobyczach na polu uprawy roli i gospodarstwa, pisanych dla ludu i książkach, które wciąż zakupywał, już też o interesach własnych.

Bukowa podkuszona przez Kubiakową, nieraz robiła mu wyrzuty, że za dużo pieniędzy traci na te papiery.

On odpowiadał jej zawsze:

— Każdy grosz na książkę wydany, dziesięć razy się wraca.

— To po co pożyczasz, niech sobie sami kupują.

— „Światła nie chowa się pod korzec,“ mówi Pismo święte, pożyczam tym, co nie mają pieniędzy.

— A na co innego 'to mają?

— Każdy to z początku na książkę żałuje, ale jak raz zasmakuje w czytaniu, to go wszystkie złe nałogi odejdą, a my będziemy mieli zasługę, zwłaszcza, że Bogu dziękować mamy za co.

Bukowej pochlebiało to i uspokoiła się, a on nie odstępował od swego zwyczaju i za każdą okazją zakupywał książki, których miał już sporo.

Pod opieką Kubiakowej i matki rósł mały Szymonek, pielęgnowany jak panicz. Już z samego początku dano mu zły kierunek, nosząc wciąż na ręku, tak że miał przeszło dwa lata, a jeszcze dobrze chodzić nie umiał, podczas gdy jego rówieśnicy wywijali już po polu.

Gdy już nareszcie chodzić zaczął, obie kobiety ściśle pilnowały tego, żeby broń Boże, boso nie stąpnął na podłogę, wbrew przyjętemu bardzo hygienicznemu zwyczajowi, że dzieci wiejskie prawie rok cały obywają się bez obuwia i są jak najzdrowsze.

W tym samym stosunku postępowano z nim pod każdym względem, nie dozwalając mu w czasie najmniejszej niepogody ruszyć się z chałupy, dając natomiast co tylko zażądał, jednem słowem wychowywano go nie na dzielnego chłopa, lecz na miejską laleczkę i cieszono się wielce widząc coraz bardziej zaokrąglające się i pucołowate Szymcia policzki.

Buk gniewał się mocno o to, ale sam zapracowany coraz bardziej, gdy późnym wieczorem przyszedł do mieszkania, sen go już morzył i nie miał czasu do przekonywania żony, tembardziej iż myślał, że gdy Szymon cokolwiek dorośnie, weźmie go pod swą

rękę i złe narowy pracą i przykładem własnym z niego wyruguje.

Tymczasem Szymon pomimo że ciągle był pilnowany, wysuwał się jak mógł z chałupy, ponieważ zaś inni chłopcy bawić się z nim nie mogli, bo i Kubiakowa i Bukowa tego bardzo pilnowała, a młode chłopię radę się było czemś zabawić, więc dla rozrywki odrywał tynk od ściany i ciskał nim za drobiem, co go bardzo bawiło, zwłaszcza gdy spora ilość ptactwa przed nim uciekała, a czego mu Kubiakowa nie wzbraniała, ciesząc się z nim wspólnie i opowiadając matce jaki to zuch Szymcio, że wszystko przed nim ucieka.

Matka także rada była, że synek zabawia się na własnem podwórku, nie chodząc do drugich chałup i nie wdając się z rówieśnikami.

— A co, widzicie Kubiakowo, jaką ma ambicję, ani kroku nie ruszy się za własną chałupę, to tak udał się we mnie.

— Wiadoma rzecz, a dyć to wykapany wasz wizerunek — odpowiedziała Kubiakowa.

I obydwie zadowolone, głaskały i całowały Szymcia na przemian.

Ale Szymcio rzucając małemi kamyczkami, z początku rozganiał tylko drób, później jednak zaczął ciskać większemi i zabijać ptactwo.

Kubiakowa, której to nic nie szkodziło, nie strofowała go, matka także niby to gro-

ziła, ale jakoś nigdy zdobyć się nie mogła na ukaranie go, naradzając się nad tem z Kubiakową.

— Szymcio w tym tygodniu zabił dwie młode indyczki i gąskę, trzeba będzie go ukarać, bo jak się stary dowie, to będzie piekło.

— Jak zwykle dzieciak, moja kumo, nudzi mu się. Najlepiej będzie zrobić rózgę i niech wisi. Bo jak się go zacznie bić, to ambicję wnet straci i będzie bieda.

— Otóż to widzicie, moja kumo, najwięcej się tego boję. Ale znów jak się stary dowie.

— To jeszcze prędzej się dowie, jak go się bić będzie i pomyśli, że on tu jakie dziwne rzeczy porobił. Najlepiej zrobić rózgę, to będzie się bał.

— Racya kumo, trzeba będzie zrobić.

Ale i to nie wchodziło w wykonanie, a Szymcio nie zaprzestawał ulubionej rozrywki, a nadto zamało mu już było swoich kaczek i kur, więc rozpoczął ciskać do gołębi sąsiada, a przytem wybił mu szyb parę i zranił jego dwuletnie dziecko w głowę.

To wywołało skargę do ojca, który zbadawszy rzecz na miejscu, a przytem dowiedziawszy się o codziennej zabawce Szymcia, przyszedł do domu mocno rozgniewany i przyniósł z sobą gotową rózgę, którą nic nie mówiąc, pomimo płaczu, skarg i usprawiedliwiań obu kobiet, porządnie obił Szym-

cia i zapowiedział, że jeśli jeszcze raz powtórzy się coś podobnego, Kubiakową usunie, a chłopca ze wszystkiem umieści w mieście.

Najbardziej bała się tego Bukowa, bo znała męża ze stanowczości, a usunięcie najukochańszego synka i jedynej przyjaciółki, nie uśmiechało się do niej.

Szymcio zaś dotąd tylko głaskany i całowany, po odebraniu tak niespodziewanej i bolesnej kary, nie mógł się całą noc uspokoić. Krzyczał co tylko miał sił, a gdy mu ich zabrakło, rzucał się na posłaniu.

Obie kobiety czuwały nad nim i pieszczotami, łakociami oraz obietnicami starały się go uspokoić. Rozpoczęły się wymówki pomiędzy małżonkami, że tak okrutna kara może syna o chorobę przyprawić, a nawet i stać się przyczyną śmierci, którejby nie przeżyła.

Szymcio słuchał tych przemówień i wciąż płakał. Nareszcie Buk, który spoczynku pragnął po całodziennej pracy, widząc że niema końca uspokojeniom, krzyknąwszy ostro na syna i obietnicą powtórzenia na nowo kary w moment go uspokoił i Szymcio zasnął nareszcie, lecz przez sen głośno wzdychał, co Bukowę o rozpacz przyprawiało i wciąż robiła mężowi wymówki; ten zaś nie odpowiadając, położył się spać, pozostawiając kobietom dowolność wzajemnego wynurzania się.

Szymcio nie zachorował, jak to pewne były obie kobiety i czas jakiś nie oddawał

się ulubionej rozrywce, jednakże zła skłonność nie karcona z samego zaraz początku, przemogła nad obawą kary i zaczął teraz już nie ptactwu, ale bydlętom dokuczać.

Wskutek tego właśnie popadł w kalectwo, które na całe życie zrobiło mu przydomek „z felerem.“ Wszedłszy do obory, w której stała krowa ze świeżo przyszłem na świat cielęciem, począł się im drażnić. Rozgniewane zwierzę uderzyło go silnie rogami w twarz, tak, iż kawałek nosa mu odleciał i jeden ząb a resztę silnie mu nadwyrężyło.

Bukowa była w polu, Kubiakowa zaś zajęta była sprzątaniem w chałupie, kiedy nagle krzyk wielki rozległ się w oborze i zbiegli się sąsiedzi nie wiedząc co się stało.

Niebawem nadeszła Bukowa i padła bez przytomności widząc Szymona poranionego i zbroczonego we krwi. Posłano po Buka, a ten dowiedziawszy się co zaszło, natychmiast sprowadził felczera, który za przybyciem i Bukową do przytomności przywrócił i opatrzywszy ranę Szymcia, orzekł, że nie jest niebezpieczną, ale będzie miał feler, bo sam czubek nosa już mu nie odrośnie.

Zmartwiło to ogromnie oboje małżonków, Buk czuł się podwójnie dotknięty, bo wstyd go było że syn jego skutkiem swawoli i dokuczania bydlętom, czego on najbardziej innym dzieciom zakazywał, popadł w kalectwo.

Bukowa zaś widziała tu klęskę jej ambitnych na przyszłość względem syna widoków. Niechętni jej zaczęli się nawet naśmiewać i obwołano Szymcia po całej wsi „felerowatym,“ o czem w następstwie wieści ją dochodziły i jątrzyły do najwyższego stopnia.

Przyszło do poróżnienia z Kubiakową, lecz ta zręcznie wywinęła się od grożącego jej usunięcia z domu Buków, perswadując Bukowej, że doktorów jest dosyć i poradzić na to umieją.

Bukowa też udawała się gdzie tylko mogła i zasłyszała o jakim doktorze, ale wszystko napróżno, gdyż żadnym sposobem, ani przetrąconej chrząstki nosowej, ani brakującego kawałka do pierwotnego stanu doprowadzić nie można było, i Szymcio pozostał kaleką.

Wypadek ten jednakże o ile zmartwił Buków i dobrze życzących szczególniej jemu, bo żony jego, pogardzającej i z góry na wszystkich patrzącej, nikt nie lubił, o tyle stał się przestrogą dla swawolników, którzy bydłu spokojności nie dadzą ile razy na nich nikt nie patrzy, sprzeciwiając się lub bijąc, bo wypadek Szymcia mocno ich zatrwożył i niebawem przechodząc z ust do ust znanym był w całej okolicy.

Bukowa wciąż łożyła pieniądze na rozmaite środki. jakie jej wciąż stręczono i dopiero po kilku latach pogodziła się z myślą, że ukochany Szymcio pozostać musi kaleką.

Buk szukał ulgi w pracy, lecz od owego wypadku często zapadał na zdrowiu. Szymcio rósł jednak i wyrósł na tęgiego chłopa. Lecz biedny Buk doznał drugiego zawodu. Skutkiem złego z samego początku wychowania Szymcia, nabrał on brzydkiego nałogu lenistwa. Później, gdy ciągle wożono go do lekarzy to do rozmaitych znachorów, nawykł jeszcze bardziej do próżniactwa, a gdy Buk chciał go następnie do roboty użyć, Bukowa staczała z nim ciągłe utarczki, że takiego nieszczęśliwego kalekę chce do reszty pracą zabić, pomimo że mają go tylko jednego na dwa gospodarstwa. Nie dała go nawet uczyć, utrzymując, że go na pośmiewisko chłopaków do szkoły posyłać nie będzie.

Temu jednak oparł się stanowczo Buk i oświadczył jej, iż nie myśli pomnażać liczby nieuków, którzy są plagą społeczeństwa, nawet przy największych dostatkach.

Bukowa uznała słuszność słów męża i rozpoczęto uczyć Szymcia. Ogromnie tępo szła mu nauka z początku, bo rozleniwiony chłopak, pomimo pieszczot matki i Kubiakowej, nie chciał się uczyć, podobało mu się leżeć w chałupie, ale Buk spostrzegłszy to zaraz z początku, przekropił go kilka razy i to lepiej mu pomogło od pieszczot i obiecywanych przez matkę przysmaków, i tak powoli Szymcio przyzwyczaił się do nowego stanu rzeczy.

Buk pracując za dwóch, gdy coraz w lata zachodził, uczuwał brak sił do pracy, zaczął więc brać sporego już wyrostka jak Szymcio, bo go wciąż tak nazywano, do pracy, ale leniwy chłopak tak się wziął do roboty, że stary ojciec za każdym razem więcej się nagniewał i natrudził, nakazując mu po kilka razy jedną robotę, że więcej go to zdrowia kosztowało niż żeby ją sam zrobił, lecz że z natury był silną wolą obdarzony, postanowił więc koniecznie wyrostka przekonać, że nie do czego innego tylko do pracy jest stworzonym, tem bardziej, że widział tego konieczną potrzebę, gdyż Szymcio kiedyś miał zostać posiadaczem ziemi, a pieniądze, choć je za dobrych czasów oszczędnie żyjąc zebrał, to jednakże z powodu długiej choroby Szymcia i pomnożonych wydatków w skutek uporu żony wciąż szukającej środków dla synka, wyczerpały się w znacznej części i cały majątek miał już tylko w gospodarstwie.

Na nieszczęście jednak stary Buk zachorował i leżał długo chory, a po kilku miesiącach zakończył życie.

Przed śmiercią dał on synowi wskazówki jak ma postępować, i aby porzucił obrzydliwy nałóg lenistwa, gdyż inaczej i on i matka padną ofiarą nędzy, gdyż majątek uszczuplił się znacznie, jeszcze przez jego chorobę.

Bukowa rozchorowała się także i omało nie zeszła z tego świata. Ponieważ nie żyła

z nikim w zgodzie, nikt jej teraz ze słowem pociechy nie przyszedł i przekonała się, jak to źle jest nadymać się pychą, i nie szanować współbraci.

Nienawistni głośno już teraz szydzili z niej i nieraz słyszała dogadywania.

— Oho poczekajta, nie długo to wielkie państwo w łeb weźmie, kiedy poczciwego Buka zabrakło.

— Rozumie się, ten „felerowaty“ leniwiec, przeźre to i pójdą na dziady z tą wielką panią—rozmawiali najbliżsi sąsiedzi.

I rzeczywiście by tak było, gdyby nie wypadek, który Szymcia na drogę pracy i wstępowania w ślady ojca nawrócił.

Z początku Szymcio, nie mając już nad sobą nikogo, prócz matki i Kubiakowej, których się nie bał, zupełnie prawie robić nie chciał.

Kubiakowa z Bukową widząc że gospodarstwo, pozbawione pracowitej ręki upada, uradzili, żeby ziemię ojca Bukowej oddać w dzierżawę, a sami pozostawszy na miejscu, przyjmą parobka i prowadzić będą jak dotąd, czekając, aż się Szymcio robić namyśli.

Żeby zaś prędzej go do tego zachęcić, uradziły, że najlepiej go będzie ożenić, bo już wiek miał po temu i spodziewali się, że to go może do pracy zachęci.

— Trzeba będzie sprosić sąsiadów —radziła Kubiakowa—będzie można najlepiej wy-

badać, gdzie odpowiedniej dla Szymcia żony poszukać.

Rada ta nie przypadła do gustu Bukowej, bo uderzające raz po raz wypadki, nie wyleczyły jej z zarozumiałości.

— E nie chcę ich tu hurmem sprowadzać, boć z niemi wszystkiemi Szymcio żenić się nie będzie, ale pójdziesz jutro do Gajdów lub Szpinaków i pomówisz z niemi. Ta Magda Gajdówna podoba mi się i będzie miała wiano, chociaż i Kasia Szpinakówna choć biedniejsza, ale jakaś potulna dziewczyna, wzięłabym ją za synową.

— Ale nie wiemy co Szymcio myśli i którą zechce.

— Macie racje, dziś przy wieczerzy trzeba z nim pogadać, aby naprózno nie chodzić.

— Rozumie się, chłopak jest wybredny, niech nam wprzód powie co myśli.

Zajęły się coprędzej przygotowaniem wieczerzy.

Niebawem wszedł do izby Szymcio. Wyrósł on na tęgiego chłopa i z daleka nie źle się przedstawiał, lecz przypatrzyć mu się było z blizka, cała twarz przedstawiała się, jak u przeżytego już człowieka. Idąc ledwo suwał za sobą nogi, a ręce zawsze trzymał w kieszeniach surduta. Gdy wszedł do izby, zaraz rzucił się na tapczan i jakby najwięcej spracowany, wreszcie zawołał:

— Matulu, dawajcie kolacyę.

— Zaraz, zaraz Szymciu—odpowiedziała matka — a cóż tam czy Wojtek zrobił wszystko jak należy.

— At, a cóż nie miał zrobić — odpowiedział krótko.

— Bo widzisz najemnika zawsze trzeba pilnować, coraz jakoś gorzej idzie gospodarstwo.

— To cóż ja temu winien?

— No ja wiem, idzie o to, żebyś chociaż dopilnował.

— E dajże mi matula spokój z tem gospodarstwem, jeść mi się chce jak djabli.

— Nie gniewaj się, będzie zaraz jadło a mam z tobą pogadać. Kubiakowa mówi, że cię trzeba ożenić.

— Oszalała psia wiara,—krzyknął Szymcio, podnosząc się z trudnością z tapczana— a to po co?

— Po to, że lepiej będzie szło gospodarstwo, rozumiesz — rzekła trochę gniewliwie matka.

— E dajta mi matulu spokój, postawcie lepiej jadło, bom głodny.

— Otóż wcale nie postawię, aż nam powiesz, którą wolisz czy Magdę Gajdównę, czy Kasię Szpinakównę?

— Wolę barszcz z kiełbasą, niż te obydwie i kwita, dajcie spokój.

— Tu niema żartów, rozumiesz. Ojca już nie ma co na nas pracował, ja jestem stara, a tu koniecznie potrzeba młodej gospodyni.

— To sobie weźta którą chcecie, ja nie potrzebuję żadnej. Mało mam i tak roboty.

— A ja ci powiadam, że musisz się ożenić—krzyknęła, tupiąc nogą Bukowa—gadaj którą chcesz?

Szymcio widząc po raz pierwszy tak rozgniewaną matkę, usiadł na tapczanie i myślał, a sapał jak miech kowalski, z komina dochodziły go zapachy, rozmyślił się, że jak nie przystanie na żądanie matki, to gotowa nie dać kolacji, a może i śniadania. Kubiakowa zaś jak na złość urżnęła kawał kiełbasy, wrzucając ją do garnka... Szymciowi ślinka szła do ust, więc zdecydował się na ożenienie.

— Róbta jak myślita, ale dawajcie prędko jadło, chcecie Magdę, niech będzie, a podoba wam się Kaśka, to mi wszystko jedno.

— No to tak gadaj — odrzekła matka— możesz być pewny, że ci dobrą żonę wybierzemy.

— Dobrze, już dobrze, a kiedyż tam będzie?

— Wesele, to się za trzy tygodnie da zrobić.

— E! barszcz z tą kiełbasą.

— Zaraz synku.

Obie kobiety zakrzątały się i postawiły Szymciowi sporą miskę barszczu dobrze okraszonego, kawał kiełbasy i blizko pół bochenka chleba, a ten wolno cmokając zajadał, zaraz potem układł się na posłaniu i zasnął,

nie wiele myśląc nad zmianą kawalerskiego stanu.

Matka z Kubiakową zaś bardzo mało jadły, a natomiast układały plan, w jaki sposób Szymcia ożenić, a głównie dowiedzieć się, która z dziewcząt będzie skłonniejszą wyjść za Szymcia.

Kubiakowa miała zamówić się u gospodarzy, o zakupno pierzy i następnie sprawę omówić. Obie nie przypuszczały nawet, żeby gdzie odmowną dali odpowiedź.

Nazajutrz w południe wybrała się Kubiakowa z wsypkami, a Bukowa pozostawszy sama, obrachowywała wiele jeszcze ma gotówki i zamierzała zaraz zawołać Herszka, ażeby Szymcio w ubranie się zaopatrzył.

Otworzyła skrzynię, lecz znalazła po obliczeniu gotówki zaledwie 100 rubli, to zdawało się jej bardzo mało, obliczyła więc możliwy dochód, jaki z gospodarstwa mogła wprędce osiągnąć, lecz i tu nie wiele było do sprzedania, zmartwiła się więc mocno, ale przypomniała sobie, że nieboszczyk wskazał jej jeszcze jedną przegródkę w skrzyni, którą tylko w największej potrzebie kazał jej otworzyć. Uważała więc, że nie ma ważniejszej potrzeby, jak na ożenienie syna i zabrała się do otworzenia, nie myśląc nawet żeby tam dużo znaleźć mogła pieniędzy.

Jakież było jej zdziwienie, gdy w przegródce samemi nowiutkiemi papierkami znalazła tysiąc rubli, starannie w płótno obwi-

nięte. Westchnęła głęboko, myśląc jak pamiętał o niej nieboszczyk i zawinęła napowrót w płótno wziąwszy ztamtąd 100 rubli, obliczając, że to już wystarczyć jej powinno.

Z niecierpliwością oczekiwała powrotu Kubiakowej i żałowała, że nie kazała jej iść wprost do rodziców Kasi, która jako biedniejsza, lepszą jej się wydawała na synowę. Coraz spoglądała w okno czy Kubiakowa nie idzie. a tu na złość jakby. mijały godziny a ona nie powracała. Myślała więc, że ją tak radośnie przyjmują, bo zdawało jej się, że nie ma w całej wsi lepszych do małżeństwa widoków nad jej Szymcia.

Ale Kubiakowa przyszedłszy w pierwsze zaraz miejsce, doznała odmowy, bo choć rodzice zważając na zasługi starego Buka, chętni by byli z synem jego połączyć swą córkę, to Magda oburzuła się na samo oświadczenie, i powiedziała wprost, że za „leniwego Szymcia z felerem,“ za nic w świecie nie pójdzie. Kubiakowa więc odeszła ze złością od Gajdów i natychmiast, żeby się wieść o odmowie nie rozeszła, do Szpinaków się udała.

Tu przyjęto ją bardzo gościnnie, bo Szpinakowie mieli kilka córek, a przytem nieboszczyk Buk, bardzo często im dopomagał i w nauce synów i przy gospodarstwie, czuli się więc w obowiązku wdzięczności, a przytem zamożność Buków nie upadła jeszcze zupełnie i można ją było przy pracy do po-

rządku doprowadzić. Oboje więc namawiali Kasię, aby koniecznie szła za Szymcia, ale ta wręcz odpowiedziała, że nie chce się jej być panią i pójdzie za każdego parobka, którego jej rodzice wskażą, ale za leniwego Szymcia i do tego „z felerem,“ choćby miał całą wieś, nigdy nie pójdzie. Nic więc nie pomogły namowy Kubiakowej i pójść z niczem musiała.

Zagniewana więc wyszła, mrucząc pod nosem:

— Oszalały te dziewki, o kawałek nosa im idzie, ale poczekajta, będzieta jeszcze łapę lizać.

Pomyślała sobie, nie chce ta, to gdzie indziej nie będą tacy głupi. Rozpoczęła więc wędrówkę od chaty do chaty, gdyż koniecznie chciała z gotowym rezultatem przyjść do Bukowej.

Wszędzie jednak jak gdyby się ponamawiali, odmowną dostała odpowiedź, a w niektórych miejscach nawet wykpiwano Szymcia jako „felerowatego,“ a Bukową jako głupią, zarozumiałą, że myśli iż którakolwiek z dziewek pójdzie za niego.

Napróżno Kubiakowa wychwalała zalety nieboszczyka Buka i dobrodziejstwa, jakie niejeden od niego otrzymał, oraz majątek, jaki Szymcio po matce jako jedynak dostanie, odpowiadano wręcz:

— Któżby wam zaprzeczał, że stary Buk wyświadczał nam łaskę, pomagając do oświaty

i w gospodarstwie, ale synek ani kroplę nie jest do ojca podobnym. Tamten dawał wzór pracy na całą okolicę, a ten próżniak największy, jakiby gdziekolwiek mógł być.

— Nie robi, bo nie potrzebuje—odpowiadała Kubiakowa—a uczonym jest jak żaden we wsi całej.

— Tak wykształcony, ale ino dla siebie, a ojciec jego dzielił się nauką z nami wszystkiemi. O majątku tu nie gadajcie, bo przy próżniactwie zjeść można dziesięć takich majątków. Idźta z Bogiem.

Późnym już wieczorem powróciła Kubiakowa, zgryziona do najwyższego stopnia. Bukowa spostrzegłszy ją wchodzącą, poznała zaraz, że jej się nie udało, skojarzenie małżeństwa. Ponieważ już Szymcio leżał już na swoim tapczanie, żeby się nie domyślił że źle poszło, zapytała jej:

— A cóż Kubiakowo, nigdzie nie kupiliście pierzy?

— W całej wsi ich nie dostałam—odpowiedziała krótko.

— Mniejsza o to, to dostanie ich gdzieindziej, kiedy tylko są pieniądze, to niema kłopotu.

Gdy Szymcio chrapał już na dobre, obie kobiety zamknęły się w izbie i dopiero Kubiakowa opowiedziała Bukowej o rezultacie.

Gniew Bukowej wzrósł do najwyższego stopnia, postanowiła więc odtąd nie zbliżać

się do sąsiadów, i ożenienie Szymcia odłożyć do przyjaźniejszej chwili.

— Żeby ich djabli wzięli, to żadnej z tych dziewek nie dam Szymcia, choćby mię nie wiem jak żebrały.

Odtąd Bukowa nigdy do żadnej z gospodyń nie przemówiła słowa, a Kubiakowej zapowiedziała, pod utratą przyjaźni, zupełne udsunięcie się od sąsiadów.

Szymcio niespokojny był przez trzy tygodnie, i każdego dnia spodziewał się, że mu narzeczoną sprowadzą; nawet nieco mniejszy miał apetyt, gdy jednak minął termin, wrócił do dawnego sposobu życia, coraz mniej robiąc, a więcej się wylegując.

Matka nie robiła mu nigdy wyrzutów. Szczęściem jednak że przyjęty parobek, który już dawniej często za życia Buka pracował u nich, zajął się szczerze gospodarstwem i to uratowało ich od ruiny. Zawsze jednak znać było ubytek starego, bo chałupa nie wyglądała już tak ładnie, gdyż nikt o jej upiększenie nie starał się, ani też nie było kwiatów i drzewek w ogrodzie, bo te pousychały, a obie kobiety zajęte były tylko pracą domową.

W dwa lata po nieudanych swatach, Kubiakowa udała się do jednego ze swych dalekich krewnych, zamieszkałego w miasteczku Ujeździe, parę mil od Bętkowa położonego i jak na szczęście dla Szymcia, ciekawa kobieta dowiedziała się, że w okolicach

tegoż, ma się odbyć wielkie polowanie, na które dużo panów, nawet z Warszawy się zjedzie, i że zamówiono włościan do naganki.

Kubiakowa wyrozumiała sobie, że może by to dobrze było dla Szymcia, gdyby go tam posłać, aby się przyjrzał warszawiakom i że może któremu z panów się spodoba i z sobą go zabierze.

Za powrotem do domu objawiła to Bukowej, której projekt ten się spodobał, a że i tak z Szymcia w domu nie było żadnej poręki, bo parobek sam prawie wszystko robił, tem bardziej jej się ta wycieczka jedynaka spodobała.

— Wiecie co Kubiakowa, może się jako chłopak rozrusza, ażeby go też do Warszawy wzięli, to bym była rada, bo i nieboszczyk tam dużo się nauczył.

— Naturalnie, chłop rosły, a im tam takich właśnie potrzeba, bo to ogromne chudziaki.

— A może się i ożeni? Takie miasto, to nie nasza głupia wieś, co? —rzekła uśmiechając się.

— Jakbyśmy się zmówiły, i ja tak pomyślałam, tylko że nie chciałam o tem przypominać.

— Żeby się ino chciał wyruszyć.

— To też bo tylko.

— Muszę mu kazać zrobić kapotę, żeby nie wyglądał ladajako. Lećcie wy po Mordkę.

— Dobrze, a jak on nie będzie chciał się wyruszyć—rzekła Kubiakowa z kłopotem.

— O, musi — odpowiedziała stanowczo Bukowa.—Idźcie do Mordki, jest tu porządna kapota po starym, to może się da przerobić, a jak nie, to może ma gotową.

Kubiakowa wyszła, a Bukowa wyjrzała oknem, aby Szymcia zawołać.

Właśnie Szymcio siedział oparty o ścianę stodoły, którą reperował ich parobek Walenty, i obojętnie przypatrywał się.

— Szymciu, Szymciu!—zawołała.

Szymcio obejrzał się, lecz nie wstał, miarkując, że jeszcze czas na wieczerzę. Bukowa powtórzyła wołanie, lecz bez skutku, bo Szymcio nie mógł się odważyć wstać z ławy.

Po raz pierwszy Bukowa rozgniewała się na syna i o ile mogła głośno krzyknęła:

— Szymon, chodź-że tu prędko.

— A co chceta matulu?

— Chodź do izby.

Szymcio zdecydował się nareszcie i wahając się wolno wszedł do mieszkania.

Gdy wszedł, matka ostro do niego przemówiła:

— Już też wleczesz się jak niedołęga, ojciec twój stary był i pracował za trzech, a do śmierci nie był niemrawą.

Szymcio zdziwił się, bo po raz pierwszy usłyszał od matki przymówkę, a nie wiedząc o co idzie, po namyśle odpowiedział:

— A co tak pilnego, przecie się nie pali.

— Co się ma palić, młody człowiek jak ty, powinien prędko chodzić. Czy ci to bieda czy co, że się zawsze kulisz i ledwo nogi stawiasz.

Szymcio oparł się o ścianę, nie wiedząc co odpowiedzieć.

— Przez to mam wstyd, bo gadają żeś próżniak, i że żadna dziewka cię nie chce.

Szymcio ucieszył się, bo mu przyszła na myśl sprawa o małżeństwie i kontent był właśnie z tego, że nie rozstanie się z ulubionym tapczanem.

— Ja sam oto nie mam zgryzienia—odpowiedział już wesoło.

— Ale ja mam—rzekła tupiąc nogą matka—ładna rzecz, mieć jednego syna co nawet najbiedniejsza dziewka go nie chce.

Szymcio chciał coś odpowiedzieć, lecz Bukowa nie dała mu i zaczęła na nowo:

— Słuchaj, za tydzień ma być wielkie polowanie pod Ujazdem, musisz się tam stawić, bo może ci się miejsce do Warszawy przytrafić. Siedzisz tu napróżno.

— A co ja będę robił w Warszawie?—rzekł prędko, przerywając— mocno zakłopotany Szymcio.

— Co ci każą, rozumiesz.

Szymcio usiadł na tapczanie. Stanowczość matki i ta nagła zmiana nie mogła mu się w głowie pomieścić a od czasu kiedy skutkiem figlów o mało życia nie postradał

w oborze, przepełniony był takim strachem, że o kawał omijał wracające bydło do stodoły, wieść więc że ma być na polowaniu i mieć z dzikiemi bestjami do czynienia, przepełniała go nieopisanym strachem, tak, że nie wiedział co ma mówić.

W tej chwili do chałupy weszła Kubiakowa a za nią krawiec, niosąc gotową sukmanę.

Powitawszy Bukową i Szymcia, żyd rozpoczął zachwalać przyniesioną sztukę.

— Kubiakowa mówiła, co chcecie przerabiać ze starej sukmany, ny, co to warto, dla młodego zawsze trzeba co nowego.

— No, to jest bardzo porządna kapota, nieboszczyk mało co w niej chodził.

— Ja wiem co nieboszczyk tylko porządne rzeczi nosił, ale mam tu galante sztukę co robiłem dla organiste, a jemu to za szerokie, na Szymcia będzie jak raz, ja wam co powiem, wezmę starą, co ma leżeć, i nowa będzie was taniej kosztować.

— No, niech przymierzy — rzekła Bukowa.

— Dali panie Szymciu, przimierżajcie.

Szymcio zwolna podnosił się.

— Ostro, ostro, do takie kapote to warto podskoczyć, co bym tak zdrowie miał.

Żyd prędko wcisnął na Szymcia kapotę, była ona trochę za ciasna w plecach i za krótka, krawiec nie czekając aż zaczną przyganiać, zawołał:

— Aj waj! jak ulepione, jakbym robił na miarę, będzie miał w niej szczęście—rzekł chytrze.

— Widzi mi się co za ciasne trochę — rzekła Kubiakowa.

— Ny, co worek ma być? — odparł krawiec.

— Za małe kieszenie — rzekł Szymcio wkładając ręce — co tu można włożyć?

— Czy to jest dziadowske sukmane, czy co? teraz i szlachta nosi małe kieszenie, bo co w nich będzie kłaszcz?

Bukowa usłyszawszy przepowiednie krawca, że będzie miał w niej szczęście, nie przyganiała już i niebawem zgoda stanęła; żyd wziął starą kapotę Buka, która dwa razy więcej była warta niż świeżo zrobiona, i jeszcze mu dopłacili 12 rubli.

Gdy przeszli do alkierza, gdzie mu mieli zapłacić, Bukowa rzekła do krawca:

— Mój Mordku, co ja mam z tym chłopcem za utrapienie.

— Oj, co też gadacie, ja bym chciał mieć takich dwanaście.

— A wiele macie dzieci?

— Ny, dziewięć.

— Ani to do roboty, ani go ożenić! Oj ten nieszczęśliwy feler, wciąż mu przeszkadza.

— Taki feler, co za feler, ten kawałek nosa co jemu brakuje, to nie żaden feler, przecie zresztą jest w porządku.

— A jednak widzita, że go tu żadna nie chciała.

— Bo uni są głupie, co to un pijak, czy awanturnik. Znajdzie un, nie bójcie się, żonę.

— Właśnie posyłam go do Ujazdu, bo tam ma być zjazd na polowanie. Może się rozrusza.

— Oj, oj, widzę co macie dobry rozum. On się tam musi rozruchacz, jak mu zaczną trąbicz i strzelacz za ucho.

— Daj Boże—rzekła z rozczuleniem i zapłaciła mu, a żyd zrobiwszy dobry interes, szybko odszedł.

Energicznie wzięły się obie kobiety, aby o ile można, najlepiej Szymcia wyszykować, aby mógł wpaść w oko zebranej szlachcie.

Szymcio tymczasem mocno strapiony, wyszedł na pole szukając parobka, aby się mu zwierzyć ze zmartwienia, bo prócz niego z nikim więcej się nie zadawał.

Opowiedział mu gniew matki i całą wyprawę z domu, oraz bojaźń jaką go ta podróż przejmuje, prosząc o radę.

— Straszna ci ta rzecz to polowanie, bo dzika bestja jak skoro wystraszona wyleci, to zjada wszystko po drodze i gnata nawet nie zostawi. Ale wiesz co, jak zobaczysz co już jest blizko, to zdejm zaraz kapotę i rzuć jej w ślepie, a sam szastaj na drzewo i kwita, w górę nie wlezie.

Szymcio podziękował za radę i był już spokojniejszy, nie sprzeciwiał się kobietom, z czego się mocno cieszyły.

— A co, widać nabrał otuchy, bo nic nie mówi.

— Ani piśnie, pewnikiem mu się to podobało—odpowiedziała Kubiakowa.

Na oznaczony czas Kubiakowa z Szymciem wyruszyli w drogę, Bukowa zaś nigdzie się ruszyć z domu nie chciała, obawiając się, aby jej pozostawione przez męża pieniądze, do których nic nie mogła dołożyć, nie skradziono.

Wyprawiła więc syna z ulubioną kumą i przeżegnawszy na drogę, niespokojnie oczekiwała rezultatu.

Szymcio nic nie mówiąc do Kubiakowej, zajadał sobie od razu zapasy, jakie dostał na drogę, a pomiędzy któremi, znaczną część stanowiła, ulubiona przezeń kiełbasa sucha, którą łamał po kawałku i zajadał.

Nie powiodło się jednakże Kubiakowej wkręcić Szymcia do orszaku, bo kierujący polowaniem z boku spojrzał na Szymcia i rzekł splunąwszy:

— To jakiś niedołęga i jeszcze bez nosa, niech idzie do djabła.

Ma się rozumieć, Szymcio odejść musiał, ucieszył się zamiast rozgniewać i chciał zaraz podążyć do domu, lecz Kubiakowa ciekawa też była widzieć, tylu naraz panów, więc została się ze swoim kuzynem i znajo-

mymi. Szymcio zaś niedowierzając, czy mu tu będzie bezpiecznie, oddalił się nieco w tył ku lasowi i przystanął nieopodal domku gajowego, by się posilić. Ponieważ kieszeń była mała, a kiełbasy dużo, więc ciężko mu było wydostać ją, rozpiął więc kapotę i dopiero udało mu się wyławiać ulubiony przysmak.

Lecz zwęszył zapach mięsa, wałęsający się po lesie owczarek, a spostrzegłszy nieznajomego z głośnem szczekaniem napadł na Szymcia z tyłu. W tejże chwili dano znać do ruszenia przez zatrąbienie i rozpoczął się gwar wielki ludzi i psów.

Szymcio przelękniony, zrozumiał że na niego dziki zwierz uderza, nie oglądając się wcale, rzuca kapotę na ujadającego psa i sam wskakuje na drzewo, wołając z przerażeniem:

— Matulu! Kubiakowa!

Nadbiegł akurat orszak i zatrzymać się musiał, widząc Szymcia w lekkim stroju na drzewie (bo nic więcej pod kapotę wziąć nie chciał, żeby mu ciężko nie było) i rozpaczliwie wzywającego ratunku, podczas gdy nadbiegli przyciągnęli kapotę, w której kieszeniach znajdowało się pożywienie.

Kubiakowa przybiegła i przelękniona myślała, że Szymcio zwarjował, lecz niebawem wszystko się wyjaśniło, wśród ogólnego śmiechu, złorzeczeń łowców niezadowolonych z zatrzymania, byłoby się jednak wszystko dobrze skończyło, lecz Szymcio, który szybko ze

strachu na drzewo się dostał, teraz zaś przekonany że mu nic nie grozi, z płaczem złaził i nareszcie zeskoczywszy na ziemię wywichnął nogę, tak, że w żaden sposób iść nie mógł.

Przybiegła młoda dziewucha Magda, córka gajowego i zdjęta litością, pomogła Szymciowi się ubrać w poszarpaną przez psa kapotę i prosiła ojca, by go w chałupie umieścić.

Przez trzy tygodnie leżał Szymcio u gajowego, a matka, którą Kubiakowa uwiadomiła o wypadku, przybyła zaraz, porzuciwszy dla jedynaka wszystko i następnie co drugi dzień go odwiedzała.

Ochocza dziewczyna tak starannie Szymcia pielęgnowała, że ten rozkochał się w niej na dobre, i na wyzdrowieniu o jej rękę się oświadczył, za zgodą swej matki.

Dziewczyna pokochała wzajem Szymcia, nie zważając na jego feler, ojciec jej jednak, ponieważ mu doniesiono, że Szymcio jest wielki próżniak, położył za warunek, iż prędzej mu córki nie odda, aż po rocznej próbie, przez czas ten Szymcio ma się zajmować gospodarstwem u jego brata a stryja Magdy, matka zaś jej w żaden sposób pozwolić nie chciała na małżeństwo z kaleką, jak się wyrażała i koniecznie chciała próbę do dwóch lat przeciągnąć, myśląc, że przez ten czas Magda się rozmyśli i pójdzie za innego.

Szymcio przystał na wszystkie warunki i jął się do roboty za wszystkie czasy, tak, że stary gajowy. pomimo że żona jego odradzała mu wydać Magdę za Szymcia, po upływie kilku miesięcy, na usilne jej naleganie, huczne wesele w Ujeździe wyprawił.

Bukowa była bardzo zadowolona z synowej, bo ta i urodą i rządnością, a głównie miłością dla męża, z którym wspólnie pracowała, godną była ze wszech miar miłości.

Chałupa Szymcia znów przystrojoną została jak za dawnych czasów ogródkiem i wesoło w niej było, bo młoda Bukowa umiała żyć z sąsiadami.

Matka Szymcia, jak mu się tylko pierwszy syn urodził, oddała mu zostawione przez ojca pieniądze, warunkując tylko dla siebie i Kubiakowej, osobny kącik i wyżywienie.

Zająwszy się znów jak ojciec obu gospodarstwami, przy wspólnej z żoną pracy, dorobił się sporo grosza.

Dzieci miał sześcioro i najbardziej przestrzegał tego, aby ich od młodości do pracy przyzwyczajać i nie dać im dokuczać zwierzętom, tłomacząc za każdym razem, ich wielką użyteczność dla człowieka i swój figiel, który go na całe życie oszpecił i nieprzyjemnym przydomkiem *felerowatego* napiętnował.